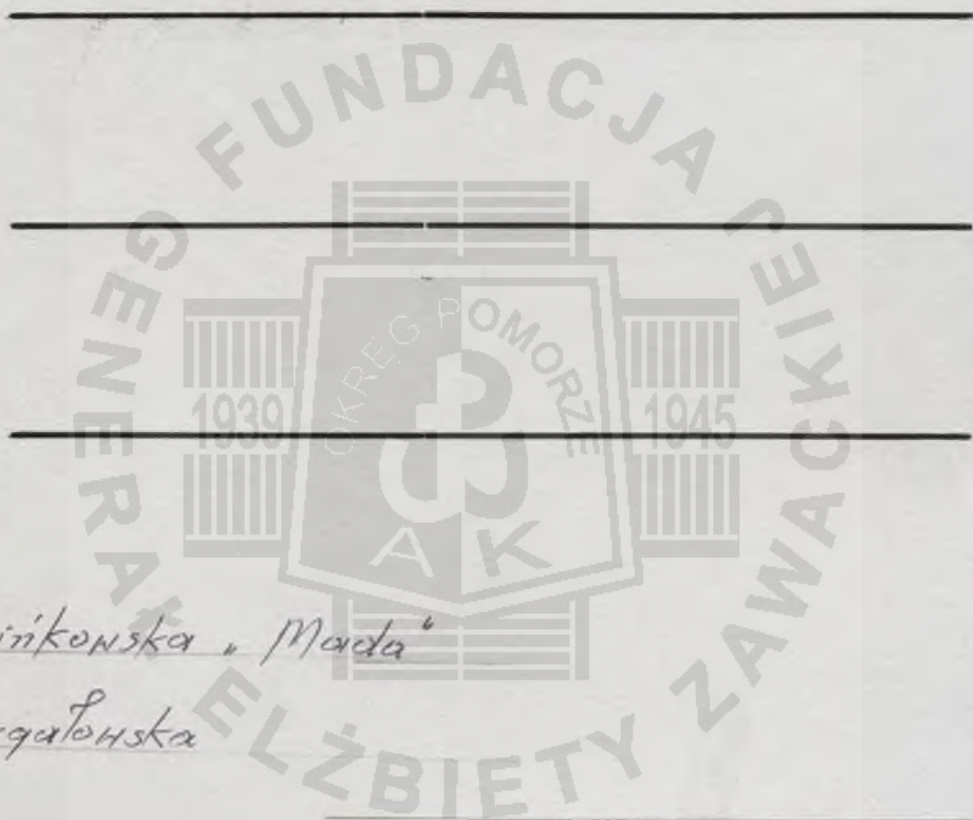


FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl

poprzedni w OI-993/1727
IV 15 21



Maria Binikowska "Marta"

2 ul. Mirgatońska

31-526 Kraków

poza Pom
Ynowroclaw Nowy Sącz
AK PSZ Ł.
Gorzkiwicz Bolesław K.
okup. Łokrzewski Kazimierz
M-993/1727 Pom.
1

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

Gonziakiewicz Bolesław

J: 91-993/1729 Pom.

poza Pom. Imonroćław - Nowy Sącz
P522.

I./1. Relacja k. 16 s. 1-16

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ...

IV. Korespondencja

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne k. 1

VI. Fotografie brak

1/1. Delaja Gonskiewicza Bolesław
vel Zaknewski Wazimierz

1. Delaja - wspomnienia, materiały
wadebrane przez Kamic, Bimkowską,
mpis, kresu omys.

k. 16 s. 1-16



Moje dane, (szczęśliwe) ucieczki

Wpłynęło dnia 23.02.99

Ldz. 438/A.POM/99

Wspomnienia którymi chcę się tutaj podzielić zacząłem pisać w styczniu 1995 roku. Skłonił mnie do tego fakt, że miesiąc przedtem, w grudniu 1994 roku, minęło 50 lat od tych dramatycznych wydarzeń, które jak koszmar wracają do mnie właśnie w okolicy Bożego Narodzenia. Okres ten bowiem spędziłem w więzieniu GESTAPO w Nowym Sączu.

Patrząc z przestrzeni przeszło pół wieku na moje przeżycia i udane (szczęśliwe) ucieczki które pozwoliły mi dożyć do moich 78 lat, zastanawiam się czy to było takie moje przeznaczenie, czy też po prostu szczęście. A było tych ucieczek sporo. Myślę więc, że nim zacznę opisywać co się stało rankiem 6 grudnia 1944 roku, kiedy to GESTAPO rozbiwszy drzwi wejściowe do szkoły w Piątkowej koło Nowego Sącza, wpadło do środka w poszukiwaniu za mną, opowiem jak się to stało że ja, urodzony Inowrocławianin znalazłem się na Podhalu i akurat w szkole w Piątkowej. Nie od rzeczy też będzie abym wspomniał o mojej młodości, którą spędziłem w Inowrocławiu.

Małą maturę zdałem w gimnazjum inowrocławskim im. J. Kasprowicza, w 1936 roku, a liceum mechaniczno-elektryczne w Grudziądzu (dawniejsza szkoła budowy maszyn) w maju 1939 roku. Wybuch wojny we wrześniu 1939 roku zastał mnie na lotnisku inowrocławskim. Będąc jednym z pierwszych pilotów Aeroklubu Kujawskiego każdą wolną chwilę spędzałem na lotnisku, gdzie moim ideowym wzorem był szef mechaników, p. Florian Białecki. Tego też pamiętnego dnia, gdy przez radio usłyszeliśmy o wybuchu wojny i agresji niemieckiej, zgłosiłem się natychmiast do wojska jako ochotnik, z przydziałem do 14 pułku piechoty we Włocławku. Na drugi dzień zameldowałem się w pułku, a w kilka dni później byłem już w drodze do Warszawy, bowiem pułk został przydzielony do obrony Warszawy.

Niezapomniane są chwile przemarszu z Włocławka do Warszawy. Pierwszy chrzest wojenny pod Modlinem i wydarzenia w ciągu tego niecałego miesiąca obrony Warszawy, lecz nie ten temat jest głównym celem moich skromnych i krótkich wspomnień. Warszawa upadła, a mój cały oddział został, po rozbrojeniu, przewieziony do tymczasowego obozu jenieckiego w Wągrówcu, w powiecie poznańskim. Po kilku dniach pobytu, Niemcy zaczęli wyprowadzać jeńców małymi grupami do miasta, do uprzątkowania gruzów po zbombardowanych obiektach. Ja byłem przydzielony do grupy która uprzątała Urząd Skarbowy uprzednio w czasie działań wojennych zbombardowany. Wtedy zacząłem myśleć o ucieczce. Po skończeniu pracy, schowałem się w piwnicy budynku, a gdy moja grupa wraz z pilnującym żołnierzem niemieckim odmaszerowała do miejsca naszego odosobnienia, ja ruszyłem w stronę mego rodzinnego Inowrocławia.

Po drodze, przy pomocy spotkanych uczynnych ludzi, przebrałem się po cywilnemu. Po kilku dniach po przybyciu do Inowrocławia, zacząłem pracować w

Relacja pomysłowa Maria Brinikowa II 1999
(zob. kartki WSK)
z Powiatowa

1

1/1/2

firmie elektrycznej jako elektromonter. Niemcy, zagarnawszy tereny które uważali za rodzime tereny niemieckie t.zn. Pomorze i poznańskie, wydali rozkaz aby Polacy na oznaczony dzień i oznaczone miejsce przynieśli swoje odbiorniki radiowe. Nie spełnienie tego rozkazu groziło zamknięciem w obozie koncentracyjnym. Ja pracując jako elektryk w różnych zakładach przemysłowych i domach prywatnych niemieckich, miałem okazję być w pobliżu odbiorników radiowych. Korzystałem wtedy z okazji nastawiając na audycje w języku polskim nadawane z Londynu. Na moje nieszczęście w czasie słuchania programu z ostatnimi wiadomościami z teatru wojny, zostałem przyłapany przez wchodzącego właściciela mieszkania. Nie przewidując w swojej naiwności żadnych konsekwencji, przyszedłem do pracy, jak zwykle, na 8-mą rano do magazynu, który był oddalony o kilka ulic od biura firmy. Za chwilę zadzwonił telefon. Dzwonił mój kolega, Edmund Walczak, który pracował w biurze jako kreślarz, poprosił o mnie i cichym głosem powiedział: przyszło gestapo i pytają o ciebie. Nie czekając ani chwili na dalszy rozwój sytuacji, pobiegłem szybko do domu, wzięłem płaszcz zimowy i udałem się na dworzec, bez powiedzenia matce co się stało i gdzie idę.

Na dworcu, w kasie biletowej gdzie pracowała znajoma pani, kupiłem bilet kolejowy do Łodzi. W Łodzi miałem bliską rodzinę. Przy ich pomocy, znajomości warunków i terenu pojechałem tramwajem do Tuszyńska, a stamtąd, w nocy, już w grupie ludzi którzy albo chcieli się przedostać z terenów okupowanych przez Niemców do Generalnego Gubernatorstwa, albo też w celach przemytniczych, przeszliśmy przez <zieloną granicę> i nad ranem znalazłem się w miejscowości Czarnocin. Czarnocin był już w części Polski wydzielonej, okrojonej i zarządzanej przez gubernatora Niemca.

Gdy opuszczałem Inowrocław 4-go marca 1940 roku była jeszcze zima, a tu po przeyciach ostatnich dni była już połowa marca i w powietrzu czuło się zbliżającą wiosnę a z nią nadzieja na pomyślniejsze jutro.

Z pobliskiego Piotrkowa Trybunalskiego dojechałem pociągiem do Krakowa i zatrzymałem się u rodziny mego kolegi, z którym byłem na kursie szybowcowym, a który, po ukończeniu tegoż kursu został przyjęty do Szkoły Małoletnich Lotnictwa w Bydgoszczy. Stąd też przestałem krótką wiadomość do mojego wujka (najmłodszego brata mojej matki) Janka Boguckiego, który jako inżynier-chemik pracował w owocarni w Tymbarku koło Limanowej. Ogromna była moja radość gdy zaledwie po trzech lub czterech dniach przyjechał Janek samochodem owocarni do Krakowa po najrozmaitsze zaopatrzenia i przy okazji wstąpił aby mnie zabrać ze sobą. I oto, po miesiącu prawie niepewności co przyniesie następny dzień, znalazłem się na Podhalu, w Tymbarku.

Owocarnia w Tymbarku, już w tym czasie zatrudniała całą grupę ludzi takich jak wujek Janek, jak ja, takich którzy szukali schronienia, a którzy całym sercem i z całą energią zawiązali konspirację przeciwko Niemcom. Czułem że trafiłem do

3/1/3

miejsca które mi najbardziej odpowiadało i gdzie i ja mogłem być przydatny. Pierwszą czynnością zasugerowaną przez mego wujka była zmiana nazwiska i całej struktury ewidencyjno-rodzinnej, w celu, przede wszystkim uchronienia mojej rodziny gdybym przypadkowo wpadł w ręce GESTAPO. I tak, z początkiem kwietnia 1940 roku przy pomocy konspiracyjnych organów, moje nowe dokumenty (kenkarte) stwierdzały że nazywam się od teraz KAZIMIERZ BOLESŁAW ZAKRZEWSKI, urodzony w 1916 roku w Warszawie. Fikcyjną datę i miejsce urodzenia zmieniłem na prawdziwą już w 1945 roku, kiedy to, znalazłszy się we Włoszech, zostałem członkiem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a moje nowe nazwisko zostało formalnie zalegalizowane. Moje rodzinne nazwisko do chwili zmiany było: BOLESŁAW, KAZIMIERZ GORZKIEWICZ urodzony w 1920 r. w Inowrocławiu. Dzisiaj, oczywiście to już należy do historii. Wzmianki w kronikach aeroklubu Kujawskiego i gimnazjalne, podają najczęściej obydwie nazwiska. W Tymbarku, w owocarni pracowałem jako elektryk do jesieni 1941 roku, biorąc aktywny udział w zorganizowanym ruchu oporu, który przybrał nazwę ARMIA KRAJOWA. Pod koniec 1941 r. przeniósłem się do Nowego Sącza i oficjalnie byłem zarejestrowany jako urzędnik w kasie chorych, a nieoficjalnie byłem członkiem podziemia.

W tym czasie nawiązałem kontakt z oddziałem partyzanckim por. TATARA (znany narciarz i przewodnik tatrzański JULIAN ZUBEK) a z początkiem 1942r. byłem już członkiem tego oddziału aż do momentu dramatycznych przeżyć od których zacząłem moje wspomnienia, t.j. Boże Narodzenie 1944r., Nowy Rok i pierwsze dwa tygodnie stycznia, który to okres spędziłem w więzieniu w Nowym Sączu. 5-go grudnia wieczorem przybyłem do szkoły w Piątkowej koło Nowego Sącza aby spędzić wieczór w towarzystwie rodziny z którą byłem zaprzyjaźniony, przespąć noc, a następnego dnia wyruszyć w powrotną drogę do mojego oddziału partyzanckiego. Los chciał jednak inaczej.

Od tego momentu, los tak pokierował moim życiem, że zmienił kompletnie jego bieg i w świetle późniejszych wydarzeń, drastycznie zmieniło się moje podejście do życia i jego doczesnych spraw.

Wczesnie rano GESTAPO zaczęło dobijać się do drzwi. Nie mając innego wyjścia, w akcie rozpacz, narzuciwszy koszulę i wciągnawszy spodnie, pobiegłem szybko na strych. W międzyczasie, GESTAPO rozwaliło drzwi wejściowe, część ich wpadła do domu, a część na strych. W parę chwil byli już przy mnie. Dwóch mnie trzymało a dwóch przystawiło lufy karabinów do piersi i do głowy, jeden z nich wyciągnął z kieszeni moich spodni dokumenty i przejrzawszy je stwierdził: <TAK TO JEST ON.>

Do dzisiaj pamiętam i jak długo będę żyć nie zapomnę tej chwili. Błyskawiczna myśl przeleciała przez moją głowę: to już koniec. Jak na ekranie, przed oczyma mej duszy przesunęły się obrazy mojej młodości, moja rodzina i zrobiło mi się

5/1/4

czegoś smutno, żal za jakimiś niespełnionymi marzeniami. Nagle, wszystko się we mnie zbuntowało. Z jakąś ogromną mocą szarpnąłem się i wyrwałem z rąk oprawców, przebiegłem parę kroków i szczupakiem, jakby skacząc do wody, wyskoczyłem przez małe okienko strychowe, ładując półtora pietra niżej na zmarzłej ziemi. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy z faktu że cały budynek był otoczony.

Po upadku podniosłem się, przebiegłem około 10-15 metrów ogrodem, i znów szczupakiem przeskoczyłem ponad żywopłotem, którym była otoczona szkoła i przyległy do niej ogród. Wtedy jeszcze nie zdałem sobie sprawy, że byłem postrzelony trzy razy: czubek ucha, lewa dłoń i lewe kolano. Nie wiem tylko czy to się jeszcze stało na strychu, czy też już biegnąc przez ogród. Było jeszcze ciemno. Słyszałem głosy szczekających psów. Po drugiej stronie żywopłotu była droga, potem mała łączka i potok, w którym nieraz z kierownikiem szkoły łowiliśmy pstrągi. Przebiegłem to wszystko jakby jednym skokiem, wpląw przez potok i po drugiej jego stronie, w zaroślach zemdlalem. Jak długo tam leżałem - nie wiem, ale gdy otworzyłem oczy, już robiło się jasno.

Gdy zdałem sobie sprawę z tego co się stało, poczułem ból od postrzałów i dreszcz od zimna. Do mojej świadomości doszedł też fakt, że przeprawiając się przez potok psy straciły mój trop. Ostatnim wysiłkiem poczołgałem się kilkadziesiąt metrów i zastukałem do chaty, w której wiedziałem że mieszkał miejscowy złodziej.

Poprosiłem go o pomoc i on na plecach przeniósł mnie na skraj lasu, a potem wozem przewiózł mnie pod wskazany adres. Tam mieszkało małżeństwo których syn współpracował ze mną, gdy jeszcze, przed pójściem do partyzantki byłem dowódcą placówki w Nowym Sączu. Przyproszony felczer opatrzył mi rany i wtedy poczułem jakby fizyczne odprężenie po przejściach tego dnia. To jednak nie był koniec moich tarapatów. Nie chcąc narazić tych ludzi na niebezpieczeństwo, zaaranżowałem przetransportowanie mnie do następnej <meliny>.

Piotr Klimek, pseud. SOWA, który mieszkał w dzielnicy Nowego Sącza zwanej <Piekiełkiem>, (nie mam pojęcia skąd się wzięła ta nazwa) zgodził się na mają propozycję aby mnie przechować, i któregoś dnia o zmroku podwieziono mnie w pobliże jego kwatery, a resztę drogi, idąc wolno o lasce, doszedłem do jego mieszkania.

Piotr był bardzo dzielnym chłopakiem i wykonywał wszystkie polecenia z entuzjazmem. Był ogromnie dumny ze swego najstarszego brata, który był w tym czasie w lotnictwie w Anglii. Mój krótki pobyt u Piotra skończył się nagle i tragicznie. Któregoś wieczora, przed godziną policyjną wyszedł aby, jak mówił, coś załatwić dla naszej placówki i już więcej go nie widziałem. Tego właśnie wieczora, o późnej godzinie zapukał ktoś do drzwi, a gdy je otworzyłem w drzwiach stało GESTAPO. Nie było dla mnie ratunku. Zabrano mnie na posterunek GESTAPO i osadzono w celi blisko wejściowych drzwi do budynku. O tym co stało

1/15

się z Piotrem, miałem się dopiero dowiedzieć później, gdy w tym samym budynku byłem więźniem ale nie GESTAPO a już NKWD.

Po moim aresztowaniu przechodziłem gehennę wspólną tym, którzy mieli nieszczęście wpaść w ręce GESTAPO. Znęcali się nademną, chcieli wiedzieć gdzie jest moja rodzina, skąd pochodzę, jaka była moja funkcja w AK i kto i gdzie są moi współpracownicy. Dzięki Bogu wytrzymałem i nie zdradziłem nikogo.

13 stycznia 1945r. zostałem skazany na karę śmierci, a 15 stycznia wraz z innymi (nie pamiętam ilu nas było) w porannych godzinach, władawano nas do krytego samochodu ciężarowego i przewieziono na MONTELUPICH do Krakowa.

Ze mną razem był kolega z partyzantki Sp. Edek Sowinski (nie pamiętam jego pseudonimu). Znałem jego rodzinę, gdyż mieszkali na przedmieściu Nowego Sącza, właściwie już poza miastem i ilekroć schodziliśmy z gór na krótki odpoczynek albo aby coś załatwić w mieście, u niego był pierwszy przystanek.

Po przybyciu na Montelupich, tego wieczora, pospiesznie pozbierano takich samych stracenców jak ja (a było nas około 60-ciu), przewieziono nas na którąś stację kolejową, zapakowano do bydłowego wagonu i już bardzo późnym wieczorem, tak jak podejrzewaliśmy, transport ruszył w stronę OSWIECIMIA.

Skoro tylko pociąg był w pełni biegu, znajdujący się w grupie więźniów góral z Zakopanego (nazywał się Krzeptowski) zaczął usilnie pracować nad wyrwaniem krat z małego okienka. Udało mu się to po jakichś dwóch godzinach. Jednym z pierwszych którego podniesiono na wysokość okna aby mógł wyskoczyć, byłem ja.

Wypchnięto mnie nogami wpierw, potem obydwoma rekoma złapałem za brzeg dachu i, rozkołysawszy się w kierunku ruchu, skoczyłem. Upadłem prawą stroną ciała do rowu. Nie czułem wtedy że zwichnałem rękę. Byłem jednak wolny. W pierwszym odruchu chciałem przejść przez tor na drugą stronę, wpierw jednak uklęknąłem dziękując Bogu za ten akt łaski.

W tej chwili usłyszałem na torze tupot nóg zbliżających się w moja stronę. Nim zdążyłem zareagować, zbliżył się do mnie moj kolega Edek Sowinski, który też został wypchnięty przez otwór okienny. Nim zdążył coś powiedzieć, usłyszeliśmy strzały z daleka. Gestapo, albo jakaś eskorta niemiecka, która była w następnym wagonie, widocznie zauważyła wyskakujące sylwetki.

Ruszyliśmy szybko w kierunku prostopadłym i na południe od toru tak szybko, jak tylko pozwoliła nam nasza kondycja fizyczna. Szliśmy kilka godzin. Może gdzieś około północy dostrzegliśmy światło w jakiejś chacie. Weszliśmy aby zasięgnąć języka co do naszej lokacji i może ewentualnie aby czegoś się napić.

Nieswiadomie trafiliśmy akurat do chaty sołtysa, który już wiedział o naszej ucieczce z kolejowego transportu. Poinformował nas że jesteśmy kolejno dwunastym i trzynastym którzy przeszli przez tą wioskę i że ucieczka ta miała miejsce na trasie między Brzeźnicą a Zatorem.

Przeczekałismy do rana, a rano udaliśmy się w dalszą drogę na południowy wschód, w stronę Myslenic. Edek chciał dobrnąć do Nowego Sącza a ja do

5

1/1/6

Tymbarku, gdzie mieszkał mój wujek, brat mojej mamy. Wujek Janek, oficer rezerwy, chemik z wykształcenia, oficjalnie pracował w fabryce przetworów owocowych w Tymbarku, a nieoficjalnie był zastępcą d-cy podokręgu karpackiego AK.

Będąc w więzieniu i przechodząc przez te wszystkie tarapaty, nie bardzo zdawałem sobie sprawę z sytuacji jaka nastąpiła. Niemcy byli już w odwrocie, a na pięty już im następowała armia radziecka. My, tzn Edek i ja kierując się na południowy-wschód szliśmy właściwie w stronę nadchodzącego frontu. Byliśmy między młotem a kowadłem, w strefie bardzo niebezpiecznej. Idąc stale na południe, aby dalej od naszych przeżyć, doświadczyliśmy nalot jakiegoś samolotu. Zbiżył się do nas lotem bardzo niskim i pusił serię ze swoich karabinów. Było to przerażające. Zawsze bałem się być rannym w ten sposób abym nie mógł się poruszać lub zadbać sam o siebie. Na całe szczęście ani Edek ani ja nie byliśmy trafieni.

Dzień upłynął na marszu w stronę Myślenic. Już po zachodzie słońca nagle zjawili się <krasnoarmiejcy> na koniach no i bez pardonu, bez tłumaczenia kazali nam maszerować we wskazanym kierunku. W ten sposób stanęliśmy przed obliczem jakiegoś oficera, dowódcy tego patrolu. Przyczepił się do mnie o moje buty, a były to buty angielskie, które otrzymałem ze zrzutów spadochronowych w jesieni 1944r. Po kilku godzinnym indagowaniu, przewieziono nas do Myślenic, gdzie już byli Sowieci. Zapakowano nas do jakiejś dużej chałupy, jakby szkoły i tam już w dużym towarzystwie takich przetrzymanych w strefie przyfrontowej, przesiedziałem trzy dni. Najbardziej nieprzyjemne dla mnie było ich rygorystyczne wyprowadzanie nas dla załatwienia potrzeb fizjologicznych - 8 rano i 8 wieczor, a w międzyczasie rob co chcesz. Ja z okresu partyzantki, często spiąc na gołej ziemi, miałem przeziębiony pęcherz a co za tym idzie, częste oddawanie moczu. Głód i niezagojone rany nie tak mi dokuczały jak ta fizjologiczna tortura. I tak nagle jak nas wpakowali do tej chałupy, tak też, po trzech dniach bez wytłumaczenia wypuścili nas na wolność.

Listopad 1998r.

I na tym właściwie skończyłem opisywać swoje wspomnienia z tego okresu mego życia, który zawsze mi przypominają święta Bożego Narodzenia i okres po tym następujący.

Ponieważ na prośbę kolegi Tadzia Wojcika, z którym spotkałem się latem 1997r, i przyrzekłem dać mu te wspomnienia do wydrukowania w naszym <Wypadzie>, i chcąc się upewnić kiedy to nastąpi, zatelefonowałem do niego do Warszawy 3-go listopada 1998r. Tadzio z wielkim smutkiem oznajmił mi że ten <Wypad> nad którym teraz pracuje będzie ostatnim ogniwiem, który nas Komandosów, rozsianych po świecie, łączy. Prosił mnie równocześnie abym do moich wspomnień dodał kilka zdań w jaki sposób znalazłem się w oddziale. Spełniając jego prośbę -

6

kontynuuję.

Juz jest rok 1945, koniec stycznia. Po kilku dniach pobytu w zamknięciu w Myślenicach wypuszczono nas. Edek Sowiński i ja postanowiliśmy wrócić do Nowego Sącza, on do swojej rodziny, a ja aby pazałatwić swoje sprawy i ewentualnie wrócić do Inowrocławia. Po kilkudniowym marszu górami dotarliśmy do Tymbarku gdzie rozstaliśmy się. On znalazł transport do Nowego Sącza, a ja postanowiłem zatrzymać się parę dni u mojego wujka Janka który mieszkał jeszcze w Tymbarku ze swoją żoną Lidią. Wspomnieć tu muszę o przywitaniu jakiego doznałem. Zapukałem do drzwi ich mieszkania. Otworzyła mi Lidka, popatrzyła na mnie przez chwilę, potem zatrzasnęła mi przed nosem drzwi z okrzykiem: O Jezuu, duch! Janek, który po chwili wyszedł aby zobaczyć ducha, był bardziej zrownoważony i realny. Zapytał się poprostu: czy masz wszy? i na moją twierdzącą odpowiedź kazał mi się rozebrać w sieni, zostawić ubranie i dopiero wpuszcł mnie do środka. Potem gorąca kąpiel w dużej wannie i uczucie ogromnego odprężenia. Dali mi jakąś tam bieliznę i stare ubranie. Jakież ja byłem wtedy szczęśliwy! Byłem ubrany i nie głodny, miałem dach nad głową i pewność że po przespanej nocy będę się mógł cieszyć życiem, popatrzeć na ukochane góry i przebywać w gronie życzliwych mi ludzi. Zaczęliśmy się też zastanawiać co robić teraz, kiedy już nie ma Niemców. Janek chwilowo chciał przeczekać krytyczne chwile nowej rzeczywistości, mnie się natomiast spieszyło aby pazałatwić swoje sprawy w Nowym Sączu i wracać do Inowrocławia. To też, kiedy stopniowo wróciłem do równowagi, pożegnałem ich i wróciłem do Nowego Sącza. Tutaj też, z wielkim smutkiem dowiedziałem się o śmierci Piotrusia Klimka (pseudonim: SOWA). Zrozumiałem też, jak to się stało że ta pukająca osoba do drzwi mieszkania Piotrusia, to nie był ktoś znajomy lub szukający pomocy, lecz GESTAPO. Piotrek, (gdy ja już byłem u niego) kiedy wyszedł aby coś załatwić dla naszej placówki, miał przyręczoną maszynę do pisania, która bardzo by się przydała do pisania meldunków i krótkich wiadomości. Z tą maszyną był już w drodze do swego mieszkania, gdy natknął się na patrol policyjny. Zatrzymali go i chcieli wiedzieć co niesie. Piotrek maszynę upuścił i rzucił się do ucieczki; zginął, zastrzelony przez patrol policji niemieckiej.

Po kilku dniach pobytu u przyjaciół, wyszedłem aby po raz ostatni spojrzeć na znajome mi domy i ulice i na otaczające góry, gdy nagle spotkało mnie coś czego nie spodziewałbym się w najśmielszych przypuszczeniach. Podszedł do mnie oficer sowiecki z cywilem, który powiadomił jego, że ja jestem byłym członkiem organizacji AK i jako taki, niebezpieczny dla obecnego systemu. Zabrano mnie do budynku który tak dobrze znałem z poprzednich <wizyt>. Dawniejsze GESTAPO, a obecnie siedziba NKWD. I znow ta sama <kołomyjka> z przesłuchiwaniami, czego poprzednio doświadczyłem będąc <gościem> GESTAPO, tylko metody były trochę inne. Probowano przekupstwo, częstowano mnie papierosami (nie paliłem).

Co chwile zmieniały się indagujące osoby. Jeden wychodził, drugi wchodził. To trwało cały dzień. Późnym już popołudniem, gdy znowu nastąpiła <zmiana warty>, wstałem z krzesła, otworzyłem najbliższe drzwi i zszedłem na dół, przeszedłem spokojnie przez drzwi wyjściowe na zewnątrz i skoro tylko znalazłem się za narożnikiem budynku zacząłem biec ile mi tylko sił starczyło. Pobiłem chyba rekord swój i innych biegaczy, gdyby porównać czas i dystans pokonany. Nie myślałem wtedy o tym, ile to już ucieczek przeżyłem szczęśliwie i ile mnie jeszcze ich czeka. Następnego dnia, pierwszym rannym pociągiem przez Jasto dobiełem do Rzeszowa. To była jedyna możliwość wydostania się z Nowego Sącza. W Rzeszowie trzeba było czekać na następny pociąg do Krakowa, a potem dalej przez Katowice, Zduńską Woleń, magistralę kolejową do Inowrocławia. Gdy to wspominam, błogostawię organizację Czerwonego Krzyża, która na każdej większej stacji miała swoją placówkę, by służyć pomocą takim wytraconym z normalnego biegu życia, jak ja.

W koncu, przybyłem do Inowrocławia, gdzie w gronie rodziny i przyjaciół spędziłem kilka tygodni, lecz wciąż byłem niespokojny o to <co dalej>. Obecna niepewna, złudna odzyskana wolność napawała mnie niepokojem.

Przyszedł dzień 8-go maja, oficjalny dzień zwycięstwa nad Niemcami. Na rynku w Inowrocławiu wielka uroczystość. Poszedłem i ja z ciekawości. Jakież było moje zdumienie, gdy spotkałem tam Zbycha Mirgałowskiego, kolegę gimnazjalnego, który część okupacji niemieckiej przeżył w konspiracji w Warszawie, a ostatnie lata był adiutantem dowódcy 1-go pułku Strzelców Podhalanskich z siedzibą na Mogielicy w Beskidzie Wyspowym (Gorce).

Zbycha spotkałem kilka razy w latach 1943 - 1944 w okolicy Tymbarku i Słopnic, wiedząc o nim tylko tyle ile w naszych konspiracyjnych czasach i kontaktach było bezpiecznie wiedzieć. Od momentu naszego ponownego spotkania los związał mnie ze Zbychem na dość długi i ogromnie ważny okres życia. Tego dnia, widząc Polskę narazoną na komunistyczną zarazę, zadaliśmy sobie pytanie: co robić? Co teraz? Doszliśmy do jednego wniosku. Wrócić w góry i na nowo organizować ruch oporu przeciwko nowej opresji. Po kilku dniach przygotowań ruszyliśmy w drogę z przystankiem w Krakowie. Pierwsze kroki skierowaliśmy do miejsca, które w czasie okupacji było miejscem przekazywania informacji, rozkazów, meldunków i ewentualnych spotkań. Jakże było nasze zdumienie gdy w tym mieszkaniu spotkaliśmy dwie osoby, które zadecydowały o naszym następnym kroku. Jednym z nich, był nasz kolega z partyzantki por. <KONRAD> (nazwiska nie znam) skoczek spadochronowy i Cicho-Ciemny. Ten nas z miejsca poinformował że zaczynać partyzantkę lub jakkolwiek ruch oporu nie ma celu, że jeden z tych dzielnych ludzi sierż. <OGIEN>, jest czynny w tej chwili w okolicy Nowego Targu i że jego dni są policzone. Drugą osobą była córka doktora Pawlaka, Inowrocławianka, której matka była Czeszka a która przeżyła cały okres

1/1/9

wojenny mieszkając w Pradze Czeskiej. Ona powiedziała nam, że niedaleko od Pragi, na południowy zachód w Pilźnie są już Amerykanie. Będąc na Zachodzie, bliska już będzie droga do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Powzięliśmy decyzję natychmiast i jednogłośnie. Będziemy próbować przedostać się na zachód. Na następny dzień byliśmy już w drodze do Katowic, a stamtąd do granicy czeskiej. Przy granicy łatwo było już znaleźć kogoś kto za parę dolarów przeprowadził nas na drugą stronę. (Pieniądze miał Zbyszek jeszcze z czasów gdy dostał ostatnie uposażenie na Mogielicy przed rozwiązaniem pułku). I tu o mały włos spotkałoby nas nieszczęście. Wsiadliśmy do pociągu który miał nas zabrać w stronę Ostrawy a potem Pragi. Pociąg był złożony z wagonów towarowych wypełnionych podróżnymi, z lokomotywą zwróconą w stronę Ostrawy. Zdziwił nas fakt że prawie wszyscy podróżni rozmawiają po polsku. Dowiedzieliśmy się że są to repatrianci, którzy wracają do Polski, i że lokomotywa jest czeska, że tylko przepcha pociąg na stronę polską, będzie wracała spowrotem. A tu Sowietci zaczęli już zamykać drzwi wagonów. Na całe szczęście, drzwi z przeciwnej strony wagonu były jeszcze otwarte. Wskoczyliśmy gdy pociąg już ruszał. Do Pragi dotarliśmy już bez przygód.

Następnym celem było Pilzno. Po przespanej nocy u p. Pawlakowej, ruszyliśmy w stronę Pilzna. I tu nie obyło się bez przeszkód. W pociągu rozmawialiśmy swobodnie po polsku nie podejrzewając że to może przeszkodzić w naszych zamiarach. Gdy pociąg stanął na ostatniej stacji przed Pilznem, jeden z obecnych w przedziale Czechów, wychylił się przez okno i zawołał do czeskiego policjanta z opaską na rękawie <Rude Prawo> że w przedziale są Polacy, którzy prawdopodobnie chcą przedostać się na Zachód. Zbych w jednej chwili wyszedł z przedziału i zamknął się w klozecie. Ja już nie zdążyłem. Policjant wraz z sowieckim żołnierzem zabrali mnie do poczekalni, w której już było kilkanaście osób, przeważnie cudzoziemcy. Już w późnych godzinach wieczornych, całą tą gromadę nieszczęśników, ze mną włącznie, zebrano w małą grupę aby przeprowadzić ich do posterunku sowieckiego. Po kilku minutach marszu zbliżyliśmy się do słabo zalesionego terenu. Ja już nie miałem nic do stracenia, "teraz albo nigdy" powiedziałem sobie i korzystając z chwili nieuwagi eskortującego nas żołnierza, oderwałem się od grupy i po chwili już byłem w zagajniku. Żołnierz wystrzelił parę razy ale chyba tylko dla tego aby odwieść innych od tego samego zamiaru. Maszerowałem wytrwale i około północy natknąłem się na patrol amerykański. Z tą chwilą wiedziałem że jestem bezpieczny.

Jeden z żołnierzy mówił po niemiecku. Wytłumaczyłem się kim jestem i co tu robię. Zabrali mnie do swojej kwatery, dali jeść, pić i łóżko do spania. Na drugi dzień po śniadaniu, odwieźli mnie jeep'em na rynek w Pilźnie życząc powodzenia. Nie mogło to być powiedziane bardziej prorokująco niż właśnie w tej chwili.

9

1/1/10

Rozglądając się z zaciekawieniem po olbrzymim rynku, zauważyłem półciężarówkę ze znakami Czerwonego Krzyża a przy niej, żołnierza w polskim mundurze i przedwojennej rogatywce. Zaciekawiony, zbliżyłem się do samochodu i jakież było moje zdumienie i uradowanie gdy w żołnierzu rozpoznałem mojego kolegę gimnazjalnego z Inowrocławia, Emila Bratka. Co za fantastyczny zbieg okoliczności! Nie na tym był jednak koniec. Gdy zbliżyłem się do niego całkiem, poznał mnie i przywitał po imieniu: "Bolek, ale ty masz szczęście. Był tu niedawno Zbychu Mirgałowski i pytał o Ciebie". Po tem dodał, że Zbychu pojechał do byłych koszar czeskich, w których zrobiono obóz repatriacyjny dla tych którzy chcieli powrócić do swego kraju i dowiedzieć się czy ja tam czasem nie zawędrowałem. Niedługo po tym Zbychu powrócił na rynek i wtedy opowiedział mi w jaki sposób uniknął aresztowania potym jak nasi <przyjaciele> wyciągnęli mnie z pociągu. Otóż, gdy wszedł do klozetu, zamknął drzwi i wyszedł przez okno na drugą stronę peronu, wszedł do następnego wagonu i szczęśliwie dojechał do Pilzna. Przy wspomnieniach i mleku kondensowanym którym nas uraczył Emil, miło upłynęło kilka godzin. Przy okazji dowiedzieliśmy się że Emil przeżył okres okupacji w oddziale pod nazwą <Brygada Świętokrzyska>, która pod naciskiem frontu sowieckiego wycofała się z terenów polskich aż do obecnego ich miejsca postoju pod Pilznem. Jak to się stało i przy czyjej pomocy, nie wiem. Na ten temat były różne kontrowersyjne pogłoski. Zostawiam to historii do oceny.

Korzystając z sugestji Emila, zabraliśmy się z nim do miejsca postoju Brygady Świętokrzyskiej aby realizować nasz następny etap podróży.

Nie długo czekaliśmy. Po kilku dniach samochody Brygady Świętokrzyskiej wybierały się w drogę do Murnau, obozu jenców polskich, przeważnie oficerów. W obozie tym okres wojny przesiedział płk. Mirgałowski, ojciec Zbychu. Powitanie ich było wzruszające. Zbychu zamieszkał z ojcem, a ja dostałem kwaterę w tzw. górnych koszarach obozu Murnau, gdzie byli internowani polscy i niewielka ilość angielskich lotników. Czas mój upływał na pogawędkach i odpowiedziach na tysiące pytań. Wszyscy byli ogromnie ciekawi jak przeżyliśmy okres okupacji niemieckiej, jak dawaliśmy sobie radę. Zbychu i ja byliśmy rozrywani, jako że byliśmy jedni z pierwszych, którzy bezpośrednio z kraju dotarli do nich.

Po kilku dniach rozeszła się po obozie wiadomość, że przybył z Włoch konwój samochodowy z Polskiego Korpusu, z żywnością dla jenców, a wracając będą zabierali ochotników do wojska, aby uzupełnić straty poniesione w czasie działań wojennych. Radość nasza nie miała granic. Oto spełnią się nasze marzenia. Zgłosiliśmy się natychmiast do dowódcy transportu i wkrótce konwój wyruszył w drogę do Włoch. Przez Innsbruck i cieśninę Brenner w Austrii, wjechalismy na teren Włoch i przez Werone, Ferrarę i drogą nad Adriatykiem, dotarliśmy do Porto San Giorgio.

Dostaliśmy wielkiego zaszczytu gdy na specjalnej audiencji przyjął nas Gen.

10

9/11/11

Anders, wypytując się z ciekawością o szczegóły naszego zaangażowania w walce z okupantem i przygody związane z tym, do momentu naszego przybycia do Włoch. Na koniec spytał się kilku ochotników, do jakiej jednostki chcieliby być przydzieleni. Zbyszek, jako syn dowódcy pułku piechoty, poprosił o przydział do tej broni, a ja nie mając specyficznych sentymentów, zostawiłem wybór tym, którym wierzyłem że odpowiednio zadecydują. Jeszcze tego wieczoru, mniejsza już grupa ochotników została przewieziona do Maceraty, gdzie było dowództwo 2-giej Warszawskiej Dywizji Pancernej, a której dowódcą był Gen. Rakowski. I tam znow te same pytania z tą różnicą że tym razem byli obecni oficerowie, dowódcy pułków lub oddziałów specjalnych należących do 2-giej Warszawskiej Dywizji Pancernej. Późno już, po północy jeden z obecnych oficerów powiedział: "Panie generale, jeżeli pan pozwoli, ja zabiorę ze sobą p. Zakrzewskiego. Tym oficerem był major Smrokowski, dowódca 1-szej Samodzielnej Kompanii "Commando" i 2-go Batalionu Komandosów (Zmot.), stacjonowanych w Porto Civitanova. I takim zrzędzeniem losu, przy odrobinie szczęścia i pomocy życzliwych ludzi, któregoś czerwcowego dnia w 1945r. znalazłem się nad pięknym Adriatykiem, w oddziale wojskowym, który był dla mnie ideałem cnót żołnierskich. Na tym kończy się wojenny etap mojego życia, którego początkiem był wybuch wojny w 1939 roku.



1/11/12

Wspomnienia Kazimierza Zakrzewskiego

część I

(Bolesław Gorzkiewicz z Inowrocławia)

Ostatnio coraz częściej wracam myślami do lat młodości, przeważnie bez trosk, do uczuć wzniosłych, a czasem i do zawodów. Przychodzą momenty, że niczym nieutulony żal za tym co minęło, opanowuje mnie - i rady sobie dać nie mogę.

.....

I w końcu moje tragiczne przeżycia z przed 50 lat, o których mało kto wie, odżyły ze wzmożoną siłą, właściwie teraz.

6 grudnia 1994 roku minęło 50 lat od tego tragicznego ranka (około 5 rano) gdy Gestapo otoczyło szkołę w Piątkowej koło Nowego Sącza, do której ja przybyłem poprzedniego dnia wieczorem aby spędzić wieczór w towarzystwie narzeczonej i Jej Rodziców, przespać noc a następnego dnia wyruszyć w powrotną drogę do mojego oddziału partyzanckiego. Los chciał jednak inaczej. Od momentu tego los tak pokierował moim życiem, że zmienił jego bieg kompletnie.

Od tego też momentu i późniejszych wydarzeń, drastycznie zmieniło się moje podejście do życia i do jego spraw doczesnych.

Nie mając innego wyjścia i w akcie rozpacz, bosy, z narzuconą koszulą i spodniami szybko wciągniętymi pobiegłem na strych. Gestapo w międzyczasie kolbami karabinów rozbiło drzwi wejściowe. Część ich wpadła do domu, a część na strych. Nie minęło parę minut, a byli już przy mnie. Dwóch mnie trzymało, a dwóch przystawiło kolby karabinów do piersi i do głowy, gdy inny w międzyczasie z kieszeni spodni wyciągnął dokumenty i po przejrzeniu stwierdził: TAK, TO JEST ON.

Do dzisiaj pamiętam i tak długo jak będę żył nie zapomnę co wtedy pomyślałem. Myśli jak błyskawice, przeleciały przez moją głowę. To już koniec, pomyślałem. Jak w kalejdoskopie, jak na ekranie, przed oczyma mej duszy, przemknęły się obrazy mej młodości, moi Rodzice i Rodzeństwo i zrobiło mi się czegoś smutno, żal, za jakimiś niespełnionymi marzeniami. I nagle się wszystko we mnie zbuntowało. Z jakąś nadziemską mocą szyrpnąłem się, wyrwałem się z rąk oprawców, przebiegłem parę kroków na strychu i szczupakiem, jakby skacząc do wody, wyskoczyłem przez małe okienko strychowe, lądując 1² z piętra niżej na zmarzłej ziemi. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że cały dom (szkoła) były otoczone. Po upadku podniosłem się, przebiegłem około 10-15 m ogrodem i znowu szczupakiem przeskoczyłem ponad żywopłotem, którym była otoczona szkoła

1/11/13

i przyległy do niej ogród. Wtedy też jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że byłem postrzelony 3 razy. Czubek ucha, lewa dłoń i lewe kolano. Nie wiem tylko, czytło jeszcze się stało na strychu, czy też już biegnąc przez ogród. Było jeszcze ciemno, słyszałem głosy szczekających psów. Po drugiej stronie żywopłotu była droga, potem mała łączka i potok w którym nie raz z niedoszłym teściem, kierownikiem szkoły, łowiliśmy pstrągi. Przebiegłem to wszystko jakby jednym skokiem, wpław przez potok i po drugiej jego stronie, w zaroślach, zemdlałem. Jak długo to trwało, nie wiem, ale gdy otworzyłem oczy, już robiło się jasno.

Gdy zdałem sobie sprawę co się stało, poczułem wtedy ból od postrzałów i dreszcze od zimna. Do mojej świadomości też doszedł fakt, że prawdopodobnie przeprawiając się przez ten potok, psy straciły mój trop. Ostatnim wysiłkiem poczołgałem się kilkadziesiąt metrów i zastukałem do chaty, w której wiem, mieszkał miejscowy złodziej. Poprosiłem go o pomoc i on na plecach przeniósł mnie na skraj lasu, a potem wozem przewiózł mnie pod wskazany adres. Tam mieszkało małżeństwo, których syn współpracował ze mną, gdy jeszcze przed pójściem do partyzantki byłem d-cą placówki w Nowym Sączu. Przyprawiony felczer opatrzył mi rany i wtedy poczułem jakby fizyczne odprężenie po przejściach tego dnia. To jednak nie był koniec moich tarapatów. Nie chcąc narażać tych ludzi na niebezpieczeństwo, zaaranżowałem przetransportowanie mnie do następnej "MELINY". Piotr Klimek, pseud. "SOWA", mieszkał w dzielnicy Nowego Sącza nazwaną "PIEKIEŁKO" (nie mam pojęcia skąd się wzięła ta nazwa). On się zgodził na moją propozycję, i któregoś dnia o zmroku, podwieziono mnie blisko jego kwatery, a resztę drogi, idąc wolno, o lasce, doszedłem do Jego mieszkania. Piotrusz był bardzo dzielnym chłopakiem i wykonywał wszystkie polecenia z entuzjazmem. Był ogromnie dumny ze swego najstarszego brata, który był w tym czasie w lotnictwie w Anglii. Mój krótki pobyt u Piotrusia skończył się nagle i tragicznie. Któregoś wieczoru, przed godziną policyjną wyszedł, aby jak mówił, coś załatwić dla naszej placówki - i już więcej go nie widziałem. Tego właśnie wieczoru, o późnej godzinie zapukał ktoś do drzwi, a gdy je otworzyłem, w drzwiach stało GESTAPO. Nie było dla mnie ratunku. Zabrano mnie do kwatery Gestapo i osadzono w celi blisko drzwi wejściowych do budynku.

O tym co stało się z Piotrusiem, miałem dopiero dowiedzieć się w kilka tygodni później, gdy w tym samym budynku byłem więźniem nie GESTAPO, a już NKWD.

(14)

1/1/44

Ale nie uprzedzajmy faktów.

Po moim aresztowaniu, przechodziłem gehennę tych którzy mieli to nieszczęście wpaść w ręce GESTAPO. Znęcali się nade mną, chcieli wiedzieć gdzie moja Rodzina, skąd pochodzę, jaka była moja funkcja w AK: kto i gdzie są moi współpracownicy. Dzięki Bogu wytrzymałem i nie zdradziłem nikogo.

13 stycznia 1945 r. zostałem skazany na karę śmierci, a 15 stycznia wraz z innymi (nie pamiętam ilu było) włączono nas w godzinach rannych do krytego samochodu ciężarowego i przewieziono na MONTE LUPICH do KRAKOWA. Ze mną był razem kolega z partyzantki śp. EDEK SOWIŃSKI (nie pamiętam jego pseudonimu). Znałem Jego Rodzinę, gdyż mieszkali na przedmieściu Nowego Sącza, właściwie już poza miastem i ilekroć schodziliśmy z gór na krótki odpoczynek, albo aby coś załatwić w mieście, to u Niego był pierwszy przystanek.

Po przybyciu na Monte Lupich, tego wieczora, pośpiesznie pozbięto takich samych straceńców jak ja (a było nas około 60) przewieziono na którąś stację kolejową, zapakowano do bydłowego wagonu i już bardzo późnym wieczorem ruszył transport w stronę OŚWIĘCIMIA, jak zresztą wszyscy podejrzewaliśmy. Skoro tylko pociąg był w pełni biegu, poza miastem, znajdujący się w grupie więźniów, góral z Zakopanego (nazywał się Krzeptowski) zaczął usilnie pracować nad wyrwaniem krat. Udało mu się to po jakichś 1 - 2 godz. Jednym z pierwszych których podniesiono na wysokość okna aby mógł wyskoczyć, byłem ja. Wypchnięto mnie nogami najpierw, potem obydwoma rękami złapałem za obrzeżenie dachu i rozkołysawsty ciało w kierunku ruchu pociągu, puściłem się. Wpadłem prawą stroną ciała do rowu. Nie czułem wtedy, że zwiczniałem rękę. Byłem jednak wolny. W pierwszym odruchu chciałem przejść przez tor na drugą jego stronę, uklęknąłem wpierw jednak na torze i przeżegnałem się, dziękując Bogu za ten akt łaski. W tej chwili posłyszałem tupot kroków na torze zbliżający się w moją stronę. Nim zdążyłem zareagować, zbliżył się do mnie mój kolega, EDEK SOWIŃSKI, gdyż to jego następnego wypchnięto przez otwór okienny. Nim zdążył coś powiedzieć, usłyszeliśmy strzały z daleka. Gestapo, albo jakaś eskorta niemiecka, która była w wagonie następnym za wagonem z więźniami, widocznie zauważyła wyskakujące sylwetki. Ruszyliśmy szybko w kierunku prostopadłym do toru i na południe od toru tak szybko, jak tylko pozwoliła nam nasza kondycja. Szliśmy kilka godzin. Może gdzieś koło północy, dostrzegliśmy światło w jakiejś chacie. Weszliśmy aby

T/11/15

zasięgnąć języka co do naszej lokacji i może ewentualnie aby przedewszystkiem czegoś się napić. Nie wiedząc o tym, akurat trafiliśmy do chaty sołtysa, który już wiedział o ucieczce więźniów z kolejowego transportu. Poinformował nas, że my jesteśmy kolejno numer 12 i 13 którzy przeszli przez tą wioskę i jego chatę. Poinformował nas także, że wyżej wymieniona ucieczka miała miejsce na trasie między BRZEŹNICĄ a ZATOREM.

Przeczekaliśmy do rana, a rano udaliśmy się w dalszą drogę na południowy - wschód, w stronę Myślenic. Edek chciał dobrnąć do Nowego Sącza, a ja do TYMBARKU, gdzie mieszkał mój wujek, brat mojej pierwszej, zmarłej mamy. Wujek Janek, oficer rezerwy, chemik z wykształcenia, oficjalnie pracował w fabryce przetworów owocowych w TYMBARKU, a nieoficjalnie był zastępcą d-cy podokręgu Karpackiego AK.

Idąc w więzieniu, a następnie przechodząc przez te wszystkie tarapaty, nie bardzo zdawałem sobie sprawę z sytuacji jaka nastąpiła. Niemcy byli już w odwrocie, a na pięty nachodziła im armia radziecka. My, tj. Edek i ja kierując się na południowy - wschód szliśmy właściwie w stronę nadchodzącego frontu. Byliśmy między młotem a kowadłem, w strefie bardzo niebezpiecznej. Idąc stale na południe, aby dalej od naszych przeżyć, doświadczyliśmy nalot jakiegoś samolotu. Zbliżył się do nas lotem b. niskim, koszącym i puścił serię ze swoich karabinów. Było to Przerażające. Zawsze bałem się być rannym w ten sposób, abym nie mógł się poruszać lub zadbać sam o siebie. Na całe szczęście, ani Edek ani ja nie byliśmy ranni.

Dzień upłynął na marszu w stronę Myślenic. Już po zachodzie słońca nagle zjawili się "Krasnoarmiejcy na koniach", no i bez pardonu, bez tłumaczenia kazali nam maszerować w stronę wskazaną. W ten sposób, stanęliśmy przed obliczem jakiegoś oficera, dowódcy tego patrolu. Przyczepił się do mnie o moje buty. A były to buty angielskie, które otrzymałem ze zrzutów spdochronowych w jesieni 1944r. Po kilku godzinnych indagowaniach, przewieziono nas do Myślenic, gdzie byli już Sowieci. Zapakowano nas do jakiejś dużej chałupy, jakoby szkoły i tam już w "dużym towarzystwie", takich przetrzymanych w strefie przyfrontowej przesiedziałem 3 dni. Najtragiczniejsze dla mnie było ich rygorystyczne wyprowadzanie nas na załatwienie potrzeb fizjologicznych. 8 rano i 8 wieczór. A w międzyczasie rób co chcesz. Ja, z okresu partyzantki, często śpiąc w lesie na gołej ziemi, potrzebowałem "wyjść". Głód mi nie dokuczał, niezagojone rany też nie, natomiast ta tortura fizjolo-

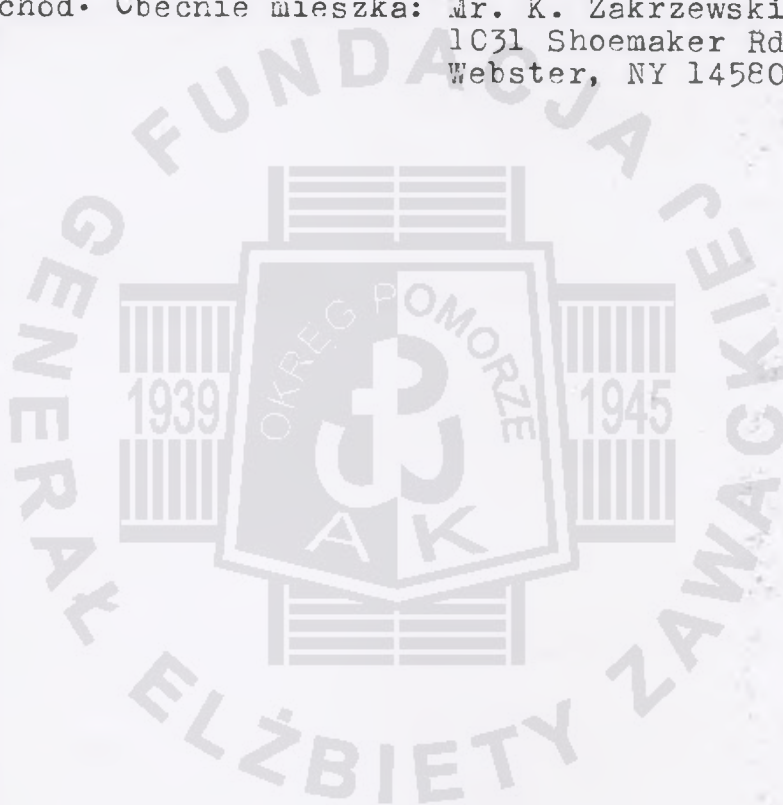
5/1/16

giczna była niesamowitą męczarnią.

I tak nagle jak nas zabrano i zapakowano do "tej chałupy",
tak też po 3 dniach otwarto drzwi i wypuszczone.

(list do Marii Biłkowskiej napisany w Webster, Kanada
z dnia 16 stycznia 1995r.)

(Kazimierz Zakrzewski jest nazwiskiem wojennym Bolesława
Gorzkiewicza pochodzącego z Inowrocławia. W 1945 r. przedostał
się na zachód. Obecnie mieszka: Mr. K. Zakrzewski
1031 Shoemaker Rd
Webster, NY 14580 / Kanada



T: M-993/1727 Pom.

poze Pom.

Gomzkiewicz Bolesław

V. Party informacyjne

lc. 1

Mieszka w Kanadzie,

Mr. Kazimierz Zakrzewski

1031 Shoemaker Rd

Webster, NY 14580 / Kanada

Zródło: relacja

k.Wojt., 1999r.

Gorzkiwicz Bolesław

ZESKANOWANE



Zakład Producyjny w Legnicy
TECZKA DO AKT
SWW 1824-331 ZN-96/1

